

Jak pracujemy?

Własny reportaż z własnej redakcji

Czytelnicy gazet nie zawsze orientują się w technice i sposobie powstawania gazet. Niki bowiem dotychczas nie robił reportażu z za kulis redakcji.

Dlatego też dajemy dzisiaj garść obrazków z życia redakcji ABC w jej nowym składzie, a koleżanki i koleżanki redakcyjnych prosimy: wybaczyć, jeśli gdzieś zapląta się odrobina złośliwości, bo cała opowieść płynie wprost z serca.

Teraz już wszystko idzie normalnym torem. Każdy wrócił do swoje nowe obowiązki, jak koło wielkiej maszyny, pracując w harmonii z innymi, jak mała część mózgu jednego żywego organizmu. Wszyscy razem stworzyli sko ordynowaną w myśli i w ruchach redakcję.

Tempo, tempo...

Dom redakcyjny stoi daleko od hałaśliwego centrum. Biały parkan oddziela go od szerokiej i pustej ulicy. Cisza panująca dookoła nie zdradza nikomu z przechodzącymi tamtędy ludzi tajemnicę domu, w którym zamknęło się pulsujące nieustannym tempem życie redakcyjne, zbiorowe życie, drgające jak seismograf od mniejszych i większych wstrząsów życia całego miasta, kraju i świata.

Prawdziwe życie redakcji zaczyna się po południu. Małe pokoje biegnące wzdłuż korytarza zaczynają się załudniać. Wszędzie rozdzwaniamy się wtedy telefony. Przewód telefoniczny niesie do pokoi redakcyjnych nowe, nieznane wiadomości. W rozmowy miejskie wpadają z niecierpliwym hałasem rozmowy z prowincją i „telefony własne” korespondentów zagranicznych. „Dalekopis” rytmicznie stukając wyrzuca długie zwoje komunikatów PAT-a.

Z szumem pośpiechu przebiegają schody, wracają z miasta reporterzy, niosąc jak myśliwskie trofea „szlagiery” nieznane innym redakcjom. Do poczekalni napływają wciąż nowi ludzie. Nieustanny gwar rozmów wypełnia całe piętro. Nad drzwiami pokoi zapalają się z trzaskiem czerwone lampki, sygnał — wezwania dla rozbieganych woźnych.

Naczelny

Redaktor naczelny zamknięty w swoim pokoju, pragnie być sam przez kilka godzin. Na szklanych drzwiach wisi surowy napis: „Wstęp bez meldowania bezwzględnie wzbroniony” — napis i dwaj woźni bronią wstępu. Mimo to zgraja niesfornych sprawozdawców, czującą na każde uchylenie drzwi, wciska się najwęższą szparą.

Nie unosząc głowy, odpędza ich machnięciem długiej ręki. Wystarczy jednak, by ktoś szepnął chytrze: „Mam coś wspianiego”. — Naczelny, w którym budzi się rasowa ciekawość dziennikarza odkłada wtedy pióro. Jeżeli znalazłszy szlagier „traci myślenie”, niefortunny referent musi z pokorą, jak poduszka od spłekanego, ukłonić się przed rozgniewanej władzy. Pomysł udany wita krótkie chrząknięcie. — Naczelny zaciera okragłym ruchem kościste i cienkie ręce.

Tak, tak, świetnie — wypowiada swoją najwyższą pochwałę. Kiedy nagle zjawia się na korytarzu jego długa postać, oblega go gromada tych, którym nie udało się wtargnąć do wnętrza sanktuarium. Mają dla niego dziesiątki pytań, dziesiątki ważnych spraw, które muszą rozstrzygnąć on, naczelny mózg, najwyższa decydująca instancja.

Wreszcie odsunawszy wszystkich od siebie, krótkim magicznym zdaniem: „Nie przeczkadzać, piszę wstępny” — zasiada do maszyny. Szybko wynajdując w sobie drażny potrzebny sens i słowa, dyktuje artykuł wstępny, na który czeka cała Redakcja, jak na wypowiedź własnych myśli i dążeń.

Siwy Doktor

Siwy Doktor przychodzi zwykle z lekkim opóźnieniem. Zdjąwszy palto woła do woźnego: „Proszę mi przynieść najpierw herbaty, a zaraz po tym wszystkie gazety”.

Na biurku piętrzy się stos pism. Z za tego stosu nie widać siwego Doktora, wystaje tylko czubek srebrnej głowy i nieustannie cienka smuga wypływa przez kilka godzin dym papierosa.

Siwy Doktor skrzypiącym piórem na ćwiartkach papieru pro-

wadzi ostrą polemikę z przedstawicielami innych ideologii. Ze szpalt zadrukowanych wyławia nonsensy i lapsusy i wydobywa je na świat po raz wtóry w okrasie własnych słów. Wpada przy tym w taki ferwor polemiczny, że zapomina, że numer czeka, że numer nie może się spóźnić...

Redaktor gospodarczy

Redaktor od spraw gospodarczych żyje tym, co pisze. Chociaż inni trawia to nieźle, jemu widocznie ta strawa nie służy, bo bardzo jest chudy.

Zadziwiał się „ankietę kupiecką” i napisał artykuł wstępny, który w oznaczone dni o tej samej zawsze godzinie systematycznie (jak wszystko co robi) dyktuje maszynistce, poucza po tym swoją nieodstępną asystę, najmłodszych reporterów o rzeczach zasadniczych, o „tajemnicach programu”.

Zrobiwszy swoje ma wolny czas i drobnym kroczkiem biega po korytarzu, szukając w pokojach wszystkich tych, do których ma ważne tajemnicze sprawy. Nachyla nad każdym głowę i szepce coś prędko, po cichu.

Po tym odchodzi pogodnie uśmiechnięty, zamyślony znowu nad treścią „jutrzejszego” artykułu. Jeżeli nie starczy mu wieczoru na opracowanie tego, co ma dać jutro, murowane, że nie będzie spać w nocy.

Sekretarz i „Knot”

Smukły blondyn z falującą czupryną jest „szafarzem rozrywek kulturalnych”. Z jego rąk wychodzą wszystkie bilety do teatrów stolicy. Jego aspiracje zmierzają do tego, żeby podnieść na poziom „kultury i literatury” dodatek niedzielny, który stał się dla niego najważniejszą rzeczą... oczywiście po narzeczonych. Ponieważ spełnia również funkcje sekretarza Redakcji ma drugie marzenie — o nowej szafce na korespondencję.

Od czasu do czasu wpada do Redakcji Knot - felietonista. Wścieka nos w każdy kąt, sypnie garścią kawałów. Wie o wszystkim, co się już dzieje i o tym, co się będzie dziać.

W ogólnym

W pokoju ogólnym bez przerwy, podczas całej pracy panuje szum, stuk, gwar i dzwoniące telefonów.

Przy stołach siedzi ich kilkoro. Adjustują przyniesione wiadomości piszą notatki i reportaże. Do maszyny czeka długa kolejka. Drobną, malutką p. Terenią, z wypiekami zmęczenia na twarzy, w tempie automatu wystukuje pod dyktando. Uzbrojona jak w pancerz w słuchawki połączone z kabelem odbiera z miasta wiadomości z sądu.

Chudy, długorekły sprawozdawca „frontu pracy” świeżo odkryta gwiazda dziennikarska z dystygnowaną miną i pliką notatek zebranych ze wszystkich odcinków robotniczego życia, czekanie na maszynę zapełnia swolnym flirtem. W rozpoczął sposób przedrzeźnia rozszczębiotaną, czarną okłą reporterkę, której uwagę usiłuje zwrócić w swoją stronę różnolitych sprawozdawców sportowych.

Renata jednak — tak się bowiem zwie — ma swoje własne zainteresowania, które objawia w sposób czasem nieco ekscentryczny. Kolonia, faszyzm i odczyt, o którym marzy, tańczą w myślach tej najbardziej roztrzępanej, a jak ona twierdzi, najpoważniejszej, z współpracowniczek naszej redakcji.

W rogu pokoju, odważliwie na panujący hałas pracując specjalista od depesz. Sprawozdawca miejski szuka „światła i cieni” stolicy, obok ma miejsce małowolny i uśmiechnięty, śniady referent spraw wsi.

Przy jednym stole siedzą we dwóch: cichy i nieśmiały autor „michalków”, obłożony stertą różnorodnych gazet i reporter wysięgowy. Ten ostatni właściwie nie siedzi wcale, wierząc po całym pokoju jak nieujędzonej koł i plecie bez przerwy bzdury, od których puchną uszy, dym młodym pannom i najmłodszemu z reporterów, brunecikowi o dziewczęcym uśmiechu.

Niewlasty

Tuż również urzęduje w bliżej nieokreślonych godzinach

„Pani Moda” alias „małenka słodka Alinka”, przelewając na papier najnowsze kreacje Paryża. Niekiedy Pani Moda zdradza swoje zainteresowanie na rzecz „latających wołów” lub innego rodzaju niezwykłości. Wtedy jest tajemnicza i za żadne skarby nie chce zdradzić swoich rewelacji — chyba... że skłoni ją do tego uśmiech i przekonane pytanie głębiokiego „specja” od komunizmu, socjalizmu i żargonu.

Niezwykły ten mąż cicho stąpając na paluszkach wkradza do redakcji z pliką gazet i długo, długo pracuje w samotności.

Wieczorem w „ogólnym” króluje „Dział Akademicki” — i „Kobiec”. Pani Marysia, bo tak ją nazywamy — z nieodstępnym Watermanem pisze zwykle, nucąc sobie jakąś skoczną melodię — „Myśli roztańczone strausowskim walcem” spływają na papier w rytmie tanecznym... czasem bywają potem sprostowania.

Pani Marysia trochezy się prócz tego o swoich biednych.

Każda nowa ofiara — to nowa okazja do wybuchu radości.

Koartarzem redakcyjnym niekiedy przemknie się okragła figura dyrektora administracji lub południowa fizys jego nieodłącznego zastępcy.

Drugi co naczelnym

Nad pracą całego zespołu czuwa zastępca naczelnego. Przez jego ręce przechodzi materiał, nim ostatecznie zejdzie do zecerki. On sprawdza, czy aparat odbiorczy, sprawozdawcy i reporterzy, dali pełny i właściwy obraz dnia ubiegłego.

„Niczego nie wolno przeoczyć” i „numer nie może być spóźniony”. W dwóch zdaniach zamyka się sens jego gorączkowej pracy, spełnianej w ustawicznym napięciu uwagi i nerwów. Z ręką na pulsie całego życia redakcji, a oczyma utkwionymi w zegar kieruje pracą mózgow 30-tu ludzi, jak pracą wielkiej skomplikowanej maszyny. Zachowuje przy tym spokój i równowagę niespotykaną

u ludzi, mających tak jak on zajęcie, surowy a przecież „najlepszy z ludzi”.

Po nim może jeszcze tylko zabrać głos błąd redaktor nocny, który prowadzi życie antypoda, pracując wtedy, gdy inni śpią już snem spokojnym.

Ruszący wreszcie maszyny. Na górze w redakcji zaczyna drgać podłoga i za oknami na tarasie szklany dach drukarni rozbił się światłem. Opada wtedy tempo pracy. Wychodzą kolejno wszyscy z redakcyjnego domu. Na ulicy widzą z daleka kolorowe światła śródmieścia i pociągi, pędzące pod mostem, na którym jest przystanek tramwajowy.

Wchłania ich w siebie nieustannie zmieniające życie, które z pasją i namietnością bez przerwy fotografują słowami i po to, aby wszystko, co czarne, pokazać i wytypić i dać, własny obraz nowego życia, do którego ich pismo jest jedną z dróg.

M. S. R. i W. V.

Niezwykła operacja

Znakomity włoski chirurg, prof. Francescetti, dokonał niezwykle śmiałej operacji, „mianowicie przemieścił rogówkę z oka zmarłego 19-letniego dziewczyny na oko ślepego. Operacja udała się. Ślepy całkowicie odzyskał wzrok. Profesor twierdzi, że ta niesłychanie trudna operacja udaje się tylko wtedy, kiedy organ użyty do przeszczepienia bierze się od osoby innej płci.

Restauracja

Bazyliki wileńskiej na ukończeniu

Prace restauracyjne w Bazylice wileńskiej wkroczyły obecnie w ostatnie stadium. W chwili obecnej kończy się restaurowanie obrazów i oczyszczanie wnętrza świątyni.

Na ukończeniu są również roboty przy rekonstrukcji dawnego charakteru świątyni przy południowej ścianie. Usunięto mur łączący piedestały kolumn w południowej kolumnadzie, będący pozostałością po rządach zabórzych i odrestaurowano piedestały, przywracając im dawną ich formę. Jednocześnie rozpoczęto porządkowanie terenu w okół katedry.

Dr. K. M. Mocawski

W sporze z „nauką oficjalną”?

„Źródło rozbioru Polski” przed „trybunałem”

Jak Grzeszolski...

Piszę, jak Grzeszolski przed ogłoszeniem wyroku. Zawdzięczając bowiem całemu spłotowi nieporozumień poczynionych, dopiero na dzień przed terminem (sądowym?) dowiedziałem się o dacie odbywającego się w Krakowie posiedzenia miejscowego Towarzystwa Historycznego z referatem i dyskusją na temat mojego „Źródła rozbioru Polski”, o którym mnie zresztą urządzający to zebranie lojalnie — grubo naprzód — byli uwiadomili. Nie zdążyłem, zdążyć nie mogłem, osądzony zostałem więc zapewne „in contumaciam”. Jedno przynajmniej mam w ręku: skrót wywodów prof. (chciałem powiedzieć — prokuratora) Konopczyńskiego, który był głównym referatem na tym zebraniu.

Wywody prokuratora

Cytowany artykuł Konopczyńskiego ujął mnie naprawdę swoim tonem. Jest wzorem polemicznej prózy. Zastrzeżenia swoje (tu już nie będę mówić: oskarżenia) formułuję w sposób najmniej dla autora bolesny, z największym zarazem autorytetem, skoro przez usta jego przemawia najwybitniejszy z żyjących historyków polskich stulecia XVIII-go. Rozpoznałem po kolei zastrzeżenia te czy zarzuty!

Trzy punkty oskarżenia

Zarzutów tych jest właściwie trzy — o ile chodzi o osobę „głównego pod sądowego” i każdy z nich zasługuje na baczną uwagę. Pierwszy z nich inkryminuje autora „Źródła” o zniesławienie w druku — obok „renomowanych” sprawców zbrodni rozbiorowej (Józefa, Fryderyka, Katarzyny), obok „menu fretin” ich wspólników, za którymi p. Konopczyński się nie ujmuje (Grebnerów, Müllerów, Marschallów, Asseburgów) — także innych, niewinnych, zdaniem jego, posądzonych przez autora „Źródła” o udział w wiadomej zbrodni, a więc poszkodowanych na honorze, a to dwóch książąt: Contiego i Sabaudzkiego, jednego radcy dworu (hannoverskiego) i wolnopraktykującego filozofa, Ekscelencji Leibniza oraz dość ciemnej — jak przyznane zostało we wcześniejszych aktach sprawy? — i dwuznacznej figury, niejakiego Mokronowskiego — wszystkich niezających.

Nie kwestionuję zresztą p. Konopczyński przynależności masonskiej Contiego, Leibniza i Mokronowskiego, bo kwestionowa-

wać jej nie może (co najwyżej mógłby mieć tu zastrzeżenie co do czwartego „zniesławionego”, którego nazwisko figurowało pono nawet w rejestrach sódalicyjnych), kwestionuję wyłącznie tylko moją wykładnię ich postępów, t. j. moją egzegezę „sekretnego królewskiego” Ludwika XV w jego reperkusjach dla Polski, moją ocenę roli Leibniza w bezkrociach po Janie - Kazimierzu i Sobieskim z przedłużeniami w stronę „wielkiego planu” Augustowego i nareszcie — charakterystykę moją Mokronowskiego, niewiele odbiegającą w sumie od zażytych poglądów Konopczyńskiego, powiązaną zaś tylko, czego węższej jego biografii nie uczynił, z zasadniczym jego charakterem masonskim.

Drugi zarzut „prokuratora” brzmi poważniej: zarzuca mi — krótko mówiąc — p. Konopczyński, że poprzestaje „na ogólnikowym przytaczaniu tużinów dzieł bez źródłowego uzasadnienia poszczególnych twierdzeń”. Cóż mam na to do odpowiedzenia w tym „ostatnim słowie”?

Macocha, n'e matka

1) Widzę przesadę w zwrocie o „tuzinach dzieł”, bo nie paradowałem sążnistą bibliografią, pomimo że wielką ilość książek w ciągu pracy musiałem mieć w ręku. Nie pozwalał mi na to — jak zresztą zaznaczyłem był już w przedmowie — „charakter” (i rozmiar) książki. Wolałbym za pewne być studia niniejsze — i w odmiennej zapewne formie — opublikować gdzieindziej, np. pod egidą Krakowskiej Akademii Umiejętności, coż ja jednak na to pocznę, że dla mnie, wychowanka „Almae Matris Jagellonicae”, okazywała się ta Akademia macochą raczej, niż matką, że nie dane mi było pozostawać w kontakcie, jak tytu, tytu innym badaczom, nawet z jej komisją historyczną.

„Vivat Academia”

2) Trzonem mojej książki — jak parokrotnie zaznaczałem w jej tekście — jest niewątpliwie szkic „Wielki plan królewski” (str. 103-56). Na tych pięćdziesięciu stronach nagromadziłem istotnie — w przypisach — bogatą literaturę, wolnolularską prze ważnie, więc przez dotychczasowych nie uwzględnioną badaczy. Wiele z dzieł tam cytowanych istnieje na ziemiach polskich przeważnie w jednym tylko, o ile mi wiadomo, egzemplarzu (we własnej mojej bibliotece) — skąd inąd jednak sądzę, że przepisy te do mojej książki, acz nie rozrywając jej tekstu, są na tyle skonstruowane przejrzyste, że, nie mówiąc o „samokontroli” autora, dopuszczają w pełni kontrolę też recenzenta, pod warunkiem, że zaopatrzy się w niezbędne po temu dzieła — wskazaną by tu była, zdaniem moim, względem ich zgromadzenia, inicjatywa insty-

tucji, a nie, jak dotąd bywało, jednostek „Vivat Academia...”

Od Sasa do Lasa

Przejdźmy do zarzutu trzeciego. Czy p. Konopczyńskiemu nie wiadomo, że, zgodnie z introspekcją najsurowszych badaczy masonerii „(niezależnych duchów poza Polską)” — to, co ona wyrabia (inspirowała), „na powierzchni”, może uchodzić niejeden nokrotnie za pochodne tylko manewra sekty; że — dalej — istnieć muszą nadrzędne organa tajne, pracujące „w terenie” na różne zmiany i przez to budzące pozor machinacji „od Sasa do Lasa”. Są wszak „prawi” i „lewi” masoni; obroty jednych i drugich obserwować się dawało nawet w Polsce.

Gentleman-samokontroler

Czy nie przekonany go moje wywody, że sensualizm i racjonalizm graniczy z „settecentem” o miedzy z mistyką, że, alchemia, kabalistyka i geomancja opętały w tym i wcześniejszym już czasie dynastów, ministrów i wódzów: Filipa Orleańskiego czy Augusta Saskiego, Karola-Gustawa czy Brühla, Belle - Isle'a czy Mostowskiego. Nie wierzy mi, „prywatystę”, to niech się spyta swojego kolegi - profesora Viatte'a: ten jest „gentleman” - samokontroler jak się patrzy: niczego nie ukrywa, wszystko z precyzją szwajcarską chce załatwić (udokumentować), myli się czasem (bo mylimy się niestety! wszyscy), ale jest chyba autorytet na tym polu...

I teozofki erotomanki

I czy wkońcu nie spotkał p. Konopczyński przypadkiem teozofki, jak ja ich spotkałem, ale te, które znałem, były naprawdę dobrym dla mnie przykładem, jak to, z dziwną naogół regularnością, zamilowanie do wiedzy tajemnej zwykło się kojarzyć z wybujałą erotomanią.

Dwa rozgrzeszenia prokuratora

Przyznam się, że odetchnąłem głęboko gdy po ukazaniu się mego „Wielkiego planu” na łamach lwowskiego „Kwartalnika historycznego” oświadczył mi Konopczyński — tym razem pozwalając sobie zacytować źródło: „Był Pan dosyć ostrożny — odwarował Pan swoje stanowisko”.

Odetchnąłem, gdyż, po śmierci Askenazego, uważam tego mojego

Sędziowie udali się na naradę...

Konopczyński sam też nie był urodzonym stylistą. Proszę wziąć choćby jego pierwsze dzieło: „Polska w dobie wojny 7-letniej”, które czyta się trudno. I proszę zastawić ze stylem jego młodości styl wyrobiony trzydziestoletnią twórczością pisarską, styl choćby owianowej felietonu w niedzielnym „Kurierze”. Pisze w nim następca Szujskiego barwnie i plastycznie, pisze nieraz, jakby chciał, by go czytano pomiędzy liniami, wzorem francuskim uśmie niejednen raz wysunąć żądło krytyki, żądłoko wszakże osunę kwiecie pochwały. To też odkładając krytykę Konopczyńskiego budz uczucia niesmaku, powstają z ławy oskarżonych i z mniejszym już niepokojem oczekując wyroku sędziów krakowskich, co w sobotę „udali się na naradę...”

*) Wspomniane na wstępie posiedzenie krakowskiego Towarzystwa Historycznego, poświęcone rozbiorowi mojej książki, odbyło się ustnie z obszernym, 50 minutowym referatem profesora Konopczyńskiego, który ukazuje się w całości w przyszłorocznym „Kwartalniku Historycznym” z krótkim referatem gen. Kukiela i przy niebawem dotąd w tym poważnym gronie frekwencji słuchaczy.

Odnalezienie szczątków żołnierzy armii napoleońskiej

Na polach wsi Korolowce, gminy wojtoskiej, jeden z rolników kopiąc piasek, natrafił na 6 szkieletów ludzkich, dość dobrze zachowanych — przypuszczalnie jest to wspólna mogiła żołnierzy armii napoleońskiej z roku 1812. Wskazuje na to fakt, że szkielety odnaleziono, w pobliżu traktu, którym armia Napoleona maszerowała,

ła na Moskwę, oraz strzępki sukna pokrywające szkielety, a także orzeł z grubej blachy, pochodzący niewątpliwie z czapki. Na terenie, na której wsparty jest orzeł, widnieją cyfry 53, zapewne numer pułku, do którego należeli polegli żołnierze. Szkielety pochowano na cmentarzu wsi Korolowce.